

Józef Koszyła.

Urodziłem się w Kołodziejewie, 7 km od Mogilna, woj. poznańskie. Po niemiecku nazywało się: Alterade. Mój ojciec brał udział w powstaniu w Austrii, gdyż pochodził z tzw. Małopolski, od Rzeszowa. Brał udział w walkach także na Węgrzech. Matka pochodzi z tzw. Kongresówki. No i rodzice byli w Stanach Zjednoczonych, zarobili tam i kupili im w Kołodziejewie kilka hektarów od Niemca, który się wyprowadził. Oprócz tego ojciec był rzemieślnikiem, tzn. rymarzem. Naprawiał uprzęż, tapczany, obicia w bryczkach.

W czasie okupacji niemieckiej nic do mnie nie dotarło, by tam była jakaś konspiracja. Nic się nie działo. Niemców było tu bardzo dużo. W naszej wsi obok sąsiad Niemiec, i na przeciwko Niemiec. Kościół mieli swój, szkołę, a u nas do kościoła to trzeba było iść 5 km. Szkoła była na miejscu, ale tylko 4 klasy. Musiałem więc dojeżdżać najpierw do Inowrocławia a potem do Mogilna, żeby ukończyć 7 klas. Później zrobiłem tzw. małą maturę.

Ci Niemcy u nas, to byli starzy, od pokoleń tu osiedli. Z nowych [osadników] nikt się nie pojawił. Z tymi Niemcami dało się żyć. To byli bardzo solidni..., nic nie mogę na nich powiedzieć.

Jak okupacja się zaczęła, to ci miejscowi zachowywali się spokojnie. Tylko jak przyszli treuhandery, to ci tak, ooo. [Od razu] nas wysiedlili, gospodarstwo odebrali i przenieśli nas na drugi koniec wsi, na gospodarstwo, którego właściciela zabili chyba. Stodoły były tam rozwalone. Tam już kilka rodzin mieszkało.

Wieczorem poszedłem przez tory, żeby buraki ukraść. Ciemna noc. Wziąłem jeden burak, drugi burak. Nie zauważyłem, że kierunek mi się pomylił, jak się kręciłem. Powoli podchodzę do zagrody tego gospodarza. Psy zaczęły czekać. Już wiedziałem gdzie ja. Wróciłem się spowrotem do domu przez pole. Miałem z kilometr albo dwa, a ojciec już umierał ze strachu dlatego mnie nie ma. Stał w oknie i wyglądał mnie. No, ale szczęśliwie się skończyło.

Miałem królestwo królików. Całe 40 sztuk. No i to trzymało przy życiu. Od czasu do czasu... . Pamiętam jak kiedyś ze śrutu czy z otręb zrobiliśmy chleb, bo nie było z czego, to nie można tego było jeść. Ciężko było przeżyć.

W każdym bądź razie jakoś tam przeżyli my tą okupację. Jeszcze wojna trwała jak zgłosiłem się ochotnika do wojska. Chciałem jeszcze zdążyć powalczyć z Niemcami. Nikt nie przewidział kiedy to się skończy.

U nas było wyzwolone 18 stycznia, a z początkiem lutego zgłosiłem się na ochotnika. Najpierw byłem w podchorążówce kawalerii. Wybierali do niej takich wyższym wzrostem. W Andrzejowie k. Łodzi była podchorążówka piechoty, a kilka kilometrów dalej w Wiśniowej Górze była podchorążówka kawalerii, gdzie i ja trafiłem w kwietniu 1945 r. Jeszcze wojna trwała. Moim dowódcą był por. Godlewski. Fajny chłop taki. Po dwóch tygodniach takie rany mi się porobiły od siodła. Poszedłem do lekarza. Myślę sobie: da mi kilka dni zwolnienia. Lekarz zobaczył i powiedział:

- Na koniu się stało i na koniu się zagoi. - I rzeczywiście na koniu się zgoiło. Nigdy bym nie przepuszczał. Pięknie. Podobało mi się to. Karmili nie najgorzej, w każdym bądź razie nie narzekałem. Głodu nie było. Po trzech miesiącach koniec i kończyć szkołę w podchorążówce piechoty w Jeleniej Górze. Stamtąd przenieśliśmy się do Legnicy. Co dziwne - nikt mnie tam nie poniewierał, jak tam mówili, że poniewierają, [ciągle tylko] padnij, czołgaj się, takie głupoty. Jakoś tak trafiłem na takich dowódców, że nie odczułem takiego poniewierania rekrutem, a później podchorążym. Koń, w białych rękawiczkach patrzyli czy brudny, nie tego nie. Patrzyli, oczywiście, czy brudny. Jak nie był doczyszczony, to kazali wytrzeć. ale żeby ktoś tam poniewierał jak słyszałem, to tego nie było. Miałem szczęście po prostu.

Pamiętam jeden przypadek dezercji. Było to w ten sposób. W maju powiadomili nas, że mamy iść na zbiórkę gdzieś tam koło Andrzejowa, tam gdzie ta kawaleria była. No i na zbiórce była szkoła podchorążych, szkoła podoficerska i my. Ustawieni zostaliśmy w prostokąt. U jednego jego końca stał wkopany słup. W pewnym momencie przyjechała ciężarówka. Wyprowadzono więźnia, tzn. żołnierza no i

odczytał prokurator, że za dezercję (trzy razy dezercerował), za zdradę narodu polskiego został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie.

- Wyrok został wykonany - powiedział prokurator (to pamiętam) - wyrok wykonać. - Albo on się przejęczył, albo... . Wtedy podszedł do niego ksiądz, chwilę stał przy nim i odszedł. Podprowadzili [tego żołnierza] do słupa, widać było, że idzie sztywny, przywiązali go i oczy przewiązali czarną opaską. Pluton egzekucyjny stanął na przeciwko niego. Dowódca wydał komendę:

- Do zdrajcy narodu serią, ognia! - Padła salwa z automatów. Widziałem jak kule wrywają ciało. Potem padła komenda:

- W prawo zwrot i na wprost marsz. - Zrobiłem trzy kroki, gdy padł strzał. Jeden żołnierz się przewraca. Okazuje się, że jeden z żołnierzy z tego plutonu egzekucyjnego nie mógł strzelić, no nie mógł, i jak padła komenda: Do nogi broń! - wtedy karabin wypalił i trafił drugiego żołnierza w nogę. No, ale potem padła komenda: Śpiew! - po czym rozeszliśmy się. To wtedy pierwszy i ostatni raz widziałem egzekucję. Po tym fakcie trochę ucichło z tą dezercją. Wcześniej, to nie mogę powiedzieć, żeby zdarzało się to masowo, ale pojedynczo. Tego ostatnie, to podobno sam ojciec przyprowadził do jednostki.

Aż do końca pobytu w podchorążówce nie spotkałem się z działalnością AK w szkole. Było tak nazpikowane „Informacją” (kontrwywiadem)... .

Do grudnia nas wyszkolili. Po ukończeniu podchorążówki piechoty pojechałem z kilkoma podoficerami do Warszawy po skierowanie. Otrzymałem je do Białegostoku. Koledzy jak usłyszeli, że dostałem skierowanie do Białegostoku, to bledli, za głowę łapali się. Sami też nie chcieli tu iść. Bronili się. Ja wtedy nie słyszałem o „bandach”. Do Białegostoku, to do Białegostoku.

No i dowódca plutonu kawalerii w Białymstoku zdezerterował. W tej jednostce, co ja miałem skierowanie. To była II Brygada Kawalerii KBW przemianowana potem na 9 pułk KBW. No i mianowano mnie dowódcą tego plutonu kawalerii, bo doszli, że byłem 3 miesiące na szkole podchorążych kawalerii. To rzeczywiście była kawaleria: konie, siodła, szable, wszystko elegancko. Koni mieliśmy chyba ze 30. Mieszkałem w koszarach. Dopiero tu po raz pierwszy usłyszałem takie określenia jak: „podziemie”, „reakcja” itd.

Pierwszy raz jak ci polityczni na szkoleniu mówili mówili o tym podziemiu, to człowiek się dziwił: jakie podziemie? co to znaczy reakcja? Bo oni tak rzucali tymi sloganami. Jak tam usłyszał „podziemie” i „reakcja” i szło to potem na dół. Co to jest? - pytałem się. Wtedy nawet nie wiedziałem do jakich zadań powołane jest KBW.

Z jednym porucznikiem mieliśmy jeden pokój. Ten kolega był dowódcą plutonu 1 kompanii piechoty pewnego dnia 1946 r. mówi:

- Słuchaj, jedziemy z kompanią zbierać kontyngenty. - Za trzy dni wieczorem przychodzi w kożusku takim.

- Ooo - zauważyłem - Tylko na kontyngenty jechać.

- Ciii.

- Co się stało?

- Kompania rozbrojona.

- Kto? - No i opowiada. Jadą saniami od wsi do wsi. Zbierają jeden dzień, drugi. Mieli ze 20-30 saní, na których siedziało po 3-4 żołnierzy. Trzeciego dnia jadą i widzą z górki, że też idzie wojsko, ale w marszu ubezpieczonym: szpica, szperacze. No i jak ci jechali na saniach, tak tamci wzięli ich po bokach, z jednej i z drugiej strony. A ten dowódca nasz - porucznik Kowcik - szedł z dowódcami plutonów na przodzie i mówi:

- Chyba nas wzięli za bandę, a nas uprzedzali, że wojsko będzie operowało w tym terenie//. - No i jak doszedł to przywitał się:

- Cześć.

- Cześć. Czołem.

- Porucznik Kowcik - przedstawił się, a ten przedstawił się jako dowódca jakiejś kompanii - już nie pamiętam jakiej - z oddziału „Burego”. Dowódca plutonu, ten mój kolega z pokoju, jak usłyszał to, to włos mu się zjeżył i myślał, że mu czapka z głowy spadnie.

- Słuchaj, zobacz - powiedział ten od „Burego” - albo się poddasz, albo zginie twoich połowa ludzi. - Bo ci wszyscy na saniach, a ci już mają broń przygotowaną, karabiny maszynowe, wszystko. Dowódca kompanii rozejrzył się: sytuacja beznadziejna.

- Poddaję się - powiedział. No to broń w kozły.

- Ustawić się w szeregu - padł rozkaz.

- Zaraz tu dowódca przyjedzie. - Przyjechał tankietką, kulał trochę. Major. Teraz już nie pamiętam jego pseudonimu. Wysiadł i por. Kowcik podszedł do niego, zaszalutował i melduje:

- Panie majorze, por. Kowcik melduje kompanię rozbrojoną, stan taki i taki. - Major stanął przed szeregiem kompanii i powiedział:

- Czołem skurwysyny, pacholki Stalina - [po czym przeszedł przed szeregiem stojących na baczność żołnierzy]. Z listy jakiejś wyczytali dwóch i od razu:

- Wystąp! 15 kroków przed szereg! - Pluton egzekucyjny - Rozstrzelać! - i rozstrzelali wobec całej kompanii. Wszystkich spisali i powiedzieli:

- Macie zapewnione noclegi na wsi. Mundury zdjąć. Chłopi wam dadzą ubranie. Broń, amunicja, mundury, wszystko zostaje. Tu przenocujecie i rano każdy do swego domu. Jeżeli was spotkamy w jednostce i znowu weźmiemy do niewoli, to będzie tak jak z tym dwoma. Rozstrzelamy.

I tak było. Przenocowali na wyznaczonych kwaterach u chłopów. Gospodarze spali na podłodze a rozbrojeni żołnierze na łóżkach, bo „tak kazał dowódca”.

- Nie wiem ilu przyszło - mówi kolega - Nie wiem co mam robić, czy uciekać, czy co... . Tak opowiadał mi ten porucznik. On pochodził z Białegostoku i był zadowolony, że dostał skierowanie do miejsca zamieszkania. Porucznik Kowcik był oficerem frontowym. Skąd on był to nie wiem.

Z tej kompanii przyszło chyba tylko 10 osób na 100 żołnierzy, tylko wiara z frontu.

No i mnie dali na dowódcę tej rozbrojonej kompanii. Pluton kawalerii rozwiązała i mnie w stopniu chorążego skierowali do tej kompanii. Por. Kowcik miał oczywiście sprawę, gdyż nie zastosował elementarnych zasad regulaminu, przecież ubezpieczenie, szpica, szperacze to... [tego nie było]. Jak tak można? Przecież w ręce nieprzyjaciela dostało się tyle broni, amunicji, mundury, wszystko. Była sprawa. Dostał 3 lata i zdegradowali [do stopnia szeregowca]. Uwzględnili, że był oficerem frontowym. Wszyscy odetchnęli z ulgą, bo każdy się spodziewał, że w czapę dostanie. Wszystko mogło być. Rozprawa była w gamizonie. Byłem na niej. Na sali było kilkadziesiąt osób.

Nigdy więcej nasza jednostka nie brała udziału w zbieraniu kontyngentu.

No i teraz ja dowodzę tą kompanią. Dowódcą plutonu byłem tylko kilka tygodni. Jako chorąży miałem trzech oficerów - podporuczników. I mnie meldowali:

- Panie chorąży, podporucznik ... melduje kompanię. - Dziwna sytuacja, ale za miesiąc dostałem awans na podporucznika. Ta kompania to była jeszcze frontowa. Żołnierzy frontowych było najwięcej.

Prowadziłem z tą kompanią szkolenie. Żołnierze, jak to frontowi, nie przyzwyczajeni byli trochę do dyscypliny. W szeregu stoją i palą papierosy, takie tam... . Trochę tej dyscypliny tam wprowadziłem. Jak odchodzili do cywila, jak zegnałem się z nimi, to niektórzy płakali [więc chyba nie było tak źle].

Moja I kompania była w 9 batalionie II Brygady. W kwietniu 1946 r. 9 batalion otrzymał rozkaz udania się do miejscowości iks, ponieważ tam - jak określono - „banda” zaatakowała jadących żołnierzy WP, których ostrzelała i podpaliła samochody. Dowódca batalionu kpt. Mosiejew (po polsku umiał mówić, nie był zły chłop) wyznaczył mnie dowódcę pierwszej grupy, która miała rozpoznawać [teren] i ścigać, a oni mieli iść z tyłu jako odwód//. Dostałem dwie radiostacje. Dowództwo operacji było stałe na podsłuchu.

Musiałem co jakiś czas (co pół godziny albo co godzinę) składać meldunek czy spotkalismy się z nieprzyjacielem czy nie.

Pojechałem na miejsce. Rzeczywiście - kilka samochodów (nie pamiętam już ile dokładnie: 4, 5 czy 6) - nie mniej niż 4 samochody - spalonych, żołnierze w szoferce zabici i popaleni. Nie wszystkie samochody były spalone, ale pamiętam, że kierowcy byli trochę nadwęgleni. Obraz makabryczny.

No to rozpoznanie wśród ludności: gdzie poszli. idziemy śladami zgodnie ze wskazówkami mieszkańców wsi. Poszli do tej wsi. No to idziemy tam. Z tej do tej wsi. Potem w kierunku lasu itd, itd. Nie wszyscy mieszkańcy udzielali nam wskazówek, ale niektórzy udzielali. Nie mogę też powiedzieć, żeby nie udzielali nam [pomocy], albo żeby przekazali błędną informację, bo jednak na skutek tych informacji uzyskanych nie od kogo innego, jak od mieszkańców poszczególnych wiosek szliśmy jeden dzień, drugi dzień. Za nami szła 2 kompania i pluton moździerzy. W każdym bądź razie na drugi dzień zmęczenie było już tak dokładne, że ja idąc, zacząłem chyba spać, bo wszedłem na opłotek i dopiero wtedy ocknąłem się, nie wiedząc za bardzo gdzie jestem. Cały czas maszerowaliśmy.

Na drugi albo trzeci dzień, to już ludzie mówili, że [„bandyci”] mają tabory, tzn. jeden koń belgijski, dużej masy, bardzo silny i ten koń miał urwane pół podkowy. To był kwiecień i na tych duktach leśnych był wyraźny trop - ślad tej podkowy i wtedy już za tym śladem szliśmy. Napotkaliśmy obozowisko, gdzie przed chwilą, godzinę, dwie - trudno powiedzieć - stali. W każdym bądź razie papiery od czekolad, opakowania po papierosach amerykańskich [walały się]. Pierwszy raz widziałem takie ładne opakowania. Widać było, że tu był odpoczynek. Idziemy więc dalej po tym tropie konia. Było już jasne, że mamy ich]. Trudno już mi dziś powiedzieć, skąd dowiedziałem się o tej złamanej podkowie, wiem tylko, że taki fakt miał miejsce.

Szliśmy dwoma rzędami [po obu stronach drogi] marszem ubezpieczonym, ja byłem w szpicie. Za nami szły poszczególne plutony. W lesie zauważyłem jak jakiś żołnierz przebiega [zza drzew] do zagajnika.

- Stój! - krzyknąłem - Hasło! - a on się odwrócił i serię do mnie. Usłyszałem odłos ścinanych serią gałązek świerków: pac, pac, pac. Jednocześnie z zagajnika posypał się na nas grad strzałów. Rozpoczęła się chaotyczna strzelanina, jakby prowadzona [przez wroga] w popłochu.

- Padnij! - krzyknąłem - W tyraliere! Przygotować granaty!. - Liczyłem na to, że salwa granatów wywoła efekt psychologiczny. [Na komendę granaty poleciały na stanowiska wroga] Bach, bach, bach - wybuchła salwa granatów.

- Skokami do przodu! - podałem następną komendę, widząc że tamci wycofują się skokami do tyłu. Wyszli z zagajnika na większy, stosunkowo rzadki, las tak że widać było przebiegających żołnierzy. Zauważyłem jakieś wgłębienie w poszyciu leśnym. Chciałem skoczyć w ten dołek, już podniosłem się i zobaczyłem, że dowódca drużyny, który już doskakiwał do tego dołka dostał w brzuch. Zaraz rozległ się okrzyk:

- Sanitariusz! - a myśmy poszli do przodu. Kule latają z prawej, z lewej, pac, pac. Idziemy dalej. I dziwna sprawa. Nie wiem dlaczego tamten dowódca zdecydował wyjść z lasu w kierunku wsi, którą mieli z tyłu, musieli więc cofnąć się. No i jesteśmy już na skraju lasu a oni od nas na odległość jakieś 200-300 m. Wycofywali się planowo osłaniani ogniem broni maszynowej. My tak samo. Nasi żołnierze, pod przykryciem ognia broni maszynowej, szli do przodu. Ja w międzyczasie podałem przez radiostację meldunek do dowódcy o tym, gdzie się znajdujemy, w którym koordynacie na mapie.

Nagle pomiędzy naszą linią a nimi pojawił się piękny, osiodłany, koń.

- Nie strzelać do konia! - krzyknąłem, bo po co do konia... Widocznie spłoszył się i zwałił jeźdźca. Jednocześnie na tyłach ściganej grupy, jakieś 50 m za ich plecami zaczęły wybuchać pociski moździerzy, tak że oni się zdezorientowali w sytuacji. Nie wiedzieli co to jest. Zdziwiłem się skąd może pochodzić ostrzał z moździerzy, przecież mój meldunek do dowództwa nie był tak bardzo dokładny, by można było na podstawie przekazanych danych ustalić dokładne koordynaty ognia dla moździerzystów, by tak dość precyzyjnie prowadzili ogień.

Wtedy to widziałem taką sytuację: jeden z partyzantów, [stojąc], podstawił sobie pod brodę lufę ka-

rabinu maszynowego i pociągnął za spust. Trzech. Zginął. Inni poddawali się, reszta znikła pomiędzy zabudowaniami wioski. Na moim odcinku poddało się do niewoli chyba 16-tu. Wśród nich nie było rannych. Zabitych mieli 2-3 (ci też sami się postrzelali), w każdym razie niedużo. My mieliśmy co najmniej jednego rannego. Kapral, który dostał w brzuch przeżył. Jeszcze jakieś straty u nas były, ale teraz już nie pamiętam. Na pewno były. Bój trwał około 2 godzin.

To trwało chwilę, bo do tej wsi na oko był kilometr. Niedaleko był strumyk. Robiło się już szaro. Zanim weszliśmy do tej wsi ciemno już było. Koniec walki. Nie ma nikogo. Wszyscy się pochowali. Daliśmy już spokój.

Z tego co wiem, to miało ich być podobno 180, ale nie jestem pewien, bo to nie nasza sprawa była przesłuchiwanie czy badanie [jeńców]. Już tam byli tacy co tym się zajmowali. Najpierw przejęła ich „Informacja”. Żadnego protokołu przekazania [jeńców] się nie pisało. Nigdy później już nie znalazłem się w sytuacji takiego bezpośredniego zagrożenia, gdy śmierć groziła w każdej chwili.

W operacji tej, jak również we wszystkich pozostałych w których brałem udział do 1950 r., nie brały udziału wojska radzieckie. Nawet pojedynczy żołnierze nie brali udziału. Nawet przecież gdyby przydzielili do nas pluton żołnierzy [radzieckich] i przebrali ich w polskie mundury to po rozmowie można byłoby ich poznać. Nie, tego nie było. Jeśli chodzi o dodatkowe wyposażenie, to mieliśmy tankietki, ale tylko dowódcy używali ich.

Nie przypominam sobie, żeby po tej akcji były jakieś specjalne narady, gdzie podawali kogo rozbiliśmy, ilu zabitych itd. Każdy był zadowolony, że wyszedł z tego cało. Nikt tego jednak nie traktował jako zwycięstwo, bo co innego walka z Niemcem, a co innego ze swoimi. Przynajmniej ja nie odczuwałem tego jako zwycięstwa. Takimi kategoriami nie..., nie tego..., chociaż jak określano: „dla bandytów pobłażania być nie mogło”.

To co pisał Sikorski w tym „tygrysie”: „Ryngraf z trupa czaszką”, o tym że drogę wskazał nam gospodarz domu, w którym partyzanci zatrzymali się, to tego u mnie nie było. Nie wiedziałem wtedy kogo ścigam, nie wiedziałem, że to był „Bury”. Dopiero później dowiedziałem się o tym. Tak to nie otrzymaliśmy informacji, że tam banda takiego „Burego” [to zrobiła]. Jest zdarzenie, jechać, rozpoznać sytuację i koniec. Później, za rok, to już jak określali zadania, to [mówili] z jaką formacją, z jaką bandą [będziemy mieli do czynienia]. Na początku, to [metody działania] też były partyzanckie. Jak chcieliśmy dowiedzieć się, gdzie zniknął oddział, to szliśmy do pierwszego lepszego gospodarza, natomiast do sołtysa szliśmy wtedy jak trzeba było zakwaterować żołnierzy na noc, to wtedy on tam... . Gospodarze bali się i jednych i drugich [nas i partyzantki]. Powiemy wam, to przyjdą i nas... . Tam gdzie żołnierze KBW spali, to za to też byli karani [ci gospodarze] chłostą podobno. Były takie sytuacje, że sztab pułku czy batalionu jest [zakwaterowany w domu], a u góry spali ci partyzanci. Później mówiono o tym na odprawach. Później to już przeszukiwano dom, gdzie miał być sztab, od góry do dołu.

Pamiętam w jednym miejscu to była pomyłka. To było zimą, noc, śnieg, ale nie pamiętam gdzie i kiedy. Idący obok mnie funkcjonariusz UB mówi, że tam jest banda. Zaczęliśmy zdobywać to miejsce, oni do nas strzelają, my do nich. Kule mnie jakoś ominęły ale jego trafiły. Okazuje się, że to też nasze wojsko. Krzyczał:

- Mama, mama! - Potem jednak lewe skrzydło doszło do prawego i okazało się, że tam są nasi.
- Nie strzelaj, nie strzelaj! - rozległy się krzyki. Takie pomyłki zdarzały się.

Przed referendum miałem taki przypadek. Byłem wtedy dowódcą kompanii. W trzech miejscach miałem grupy żołnierzy. Tu pluton, tu pluton, tu pluton. 3 plutony. No, wziąłem rower, granaty 2, pistolet i rowerem jadę sprawdzać czy tam nie piją, jak się zachowują. Nagle nade mną pojawił się „Kukuruźnik”. Zrobił koło i wylądował na łące. Zatrzymuję się. Z samolotu wychodzi dowódca brygady i mnie opieprza.

- Gdzie jedziecie?

- Na kontrol.

- Sam? Bez ochrony? Rozkazuję wam: [wziąć] podwodę, karabin maszynowy - i coś tam jeszcze dodał. Zabronił mi, żebym sam po terenie... . A ja nie miałem tam wrogów żadnych, bo nikomu nie dokuczyłem. Tam gdzie stacjonowaliśmy, to jeszcze przy okazji jakąś kładkę zrobiło się przez rzekę, bo ludzie musieli jeździć przez tą wodę. Zdawało mi się więc, że mi się nic nie stanie, bo niby z jakiej racji jak ja nikomu żadnej krzywdy nie zrobiłem.

W czasie referendum frekwencja była bardzo dużo. W lokalach [wyborczych] były duże kolejki. Pamiętam, że niektóre plakaty wyborcze były zrywane. Gdzie ja wtedy ochraniałem te lokale wyborcze to już nie pamiętam. Pamiętam tylko, że w jednej ze wsi, gdzie w domu krytym blachą kwaterowali moi żołnierze ochraniający punkt głosowania, była próba ich robrojenia, ale nie udała się. Doszło do walki, jedni i drudzy trochę postrzelali, domu - jako że kryty był blachą - nie udało się im podpalić i musieli wycofać się. Ani my, ani oni oni nie mieli strat. Trudno powiedzieć ilu ich było, bo to była noc. To było chyba w przeddzień głosowania.

W czasie takich operacji dokonywano aresztowań, ale listę to mieli ci z UB. I oni to robili. Nigdy nie było przypadku, żeby oficer KBW czy żołnierz sam aresztował kogoś. Przynajmniej tam gdzie ja byłem. Owszem ten z UB brał 2 czy 3 żołnierzy i szedł.

Któregoś razu dostałem za zadanie zapewnić ochronę sądu i więźniów w czasie rozprawy sądowej w Sokółce. Przewieźliśmy ich na trzech ciężarówkach, w środkowej byli więźniowie. Ciężarówka to byłych chyba „Lubliny”. No i na rozprawie orientuję się, że ci więźniowie są gdzieś stąd. Miejscowi. Nie pamiętam już ile lat dostali. Jak tylko zorientowałem się, że to miejscowi, to zaraz domyśliłem się, że będą ich chcieli odbić. I rzeczywiście. W pewnym miejscu na szosie, która na tym odcinku biegła przez las, pojawiło się 2 czy 3-ech, z boku już słychać strzały. No ty wydałem rozkaz:

- Z wozu! - Żołnierze rozsypali się w tyralierę. No i w każdym bądź razie ani z naszej strony, ani z tamtej nikt nie zginął. Wycofali się, a my dojechaliśmy do miejsca postoju.

Pewnego razu dali mi żołnierza z partyzantki:

- To jest pseudo „Kogut” - przedstawili mi go. - Tu u was będzie. Miejcie go na oku, żeby nie uciekł. Zakwaterować itd. - według jego danych mieli przeprowadzić wielką operację. Nie wiem skąd on był. To było w Siemiatyczach. No i przychodzi do mnie ten „Kogut” i mówi:

- Panie kapitanie, tu taki mieszka dowódca kompanii. Może byśmy pojechali do niego?

- No dobrze, pojedźmy. Porozmawiam z nim. - Wziąłem „Koguta” i kierowcę i pojechaliśmy do wsi. Poszedłem do mieszkania. Gospodarz coś tam robił. No rozmawiamy, rozmawiamy i zorientowałem się, że gdzie on tam ma pojęcie o dowódcy kompanii. W końcu przychodzi kierowca i mówi:

- Panie kapitanie, „Kogut” uciekł.

- Jak to uciekł?! -

- Powiedział, że ma tam znajomego czy rodzinę i chciałby mleka się napić, ale ty idź po te mleko - powiedział żołnierz - i kierowca poszedł po te mleko. Przychodzi a „Koguta” już nie ma.

No, wróciłem do Bielska i dzwonię do szefa UB:

- „Kogut” obrósł w pióra i uciekł.

- Co ty pierdolisz?

- No tak. - Na drugi dzień przyleciał z Warszawy samolotem oficer dochodzeniowy. Myślałem, że mnie zamkną. Wszystko to potem złożyło się na przyczynę mego zwolnienia. A tego „Koguta” złapali za jakiś czas.

Ktoregoś razu wyjechaliśmy z Białegostoku na akcję. Wróciliśmy o 4-tej i żołnierze poszli psuć. O 5-tej przychodzi goniec od dowódcy brygady: alarm i daje mi jakieś zadanie szkoleniowe.

- Nie wykonam tego rozkazu - mówię.

- Dlaczego?

- Żołnierze dopiero przyjechali i położyli się spać. Szkolenia nie będzie. - Kurza twarz. Dowódca brygady Tomczakowski od razu:

- Pod sąd za niewykonanie rozkazu dowódcy - i mnie do szefa sztabu. Zygmunt się nazywał//. Ten rozumiał ludzi. Powiedziałem w czym rzecz. Poszedł do dowódcy brygady i jakoś udobruchał go. Tylko, że już od tej pory byłem na takim..., no bo tu nie wykonał... .

Innym razem znowu jakaś zmasowana akcja. Zimą to było. Po mieszkaniach u chłopów rozlokowanych było po 4-5-10 żołnierzy. Gdzieś o 4 czy o 5 rano mieliśmy stawić się w umówionym miejscu i cała brygada (kilka batalionów) miała [udać się na akcję]. Wystawiłem więc strażę, byli dyżurni. Kazałem o tej i o tej godzinie [mnie] obudzić. Obudzili później. Już widzę, że rozkazu nie wykonali. Wyjrzałem na podwórze, a tam śnieżycy. Nawaliło tyle śniegu, że nie ma mowy, żeby się przekopać. Na miejsce zbiórki przyjechaliśmy z 5-godzinnym opóźnieniem. Pod sąd. Potem jednak jakoś z tego się wytłumażyłem. Łatwo było przed ten sąd trafić.

Bywało i tak, że - jak pamiętam któreś zimy - przewodnik prowadził przez jakieś bagna. Trzciny, takie zarośnięte [to wszystko], wody nalało się do butów,, później jeszcze ciężarówką [kawał drogi]. 29 czy 39 stopni mrozu, że mi onuce zamarzyły w butach. Ale to cywil nas prowadził? w każdym razie z Urzędu [Bezpieczeństwa] musiał być, bo siedział w szoferce, a ja dowódca kompanii na skrzyni.

Jeśli chodzi o tych z UB, to nie można powiedzieć, że baliśmy się ich, raczej nie darzyliśmy ich sympatią. To na pewno. Mogli dużo zrobić. W każdym bądź razie nikt z oficerów nie darzył ich sympatią. Wszystko odbywało się na stopie służbowej. Na ile można było dystans trzymać, to się trzymało. Ich nie lubiliśmy i nie lubiliśmy politycznych. Ja miałem kilku zastępców do spraw politycznych. Jeden nazywał się Matacz//. Wtrącali się do działań operacyjnych i do wszystkiego, człowiek nie mógł być samodzielnym. Często polityczny miał więcej do powiedzenia jak ja. Niestety. Nie może tak w wojsku być. Nie przyjmowaliśmy bezkrytycznie tego wszystko co nam mówią [o podziemiu], człowiek nie był przecież tak ograniczony na umyśle, żeby przyjmował bezkrytycznie to co oni mówią. Pamiętam taki kawał. Oficer polityczny ma wykład z grupą żołnierzy.

- Czy są pytania? - pyta się.

- Tak - odpowiada jeden z żołnierzy - Panie poruczniku, jak to jest? Przed wojną mieliśmy tylko mały skrawek morza i śledzi i ryb było pod dostatkiem. A teraz mamy taki duży dostęp do morza i dlaczego ryb nie ma?

- Słuchajcie. 10 ryb wpuście do bagna. Złapicie te ryby? Ano właśnie. A wpuście do stawu hektarowego, nie złapicie... .

Może zimą 1949 r. to było, gdy brałem udział w akcji przeciwko „Dziadkowi” [Rzędzianowi?]. Sam dowódca brygady mjr Tomczakowski (przed dowódcą brygady był Rosjanin ppłk. Dembowski, który wyjechał do Rosji) wtedy przyjechał i objął dowództwo. To chyba 1 zginął a 2 złapano//. Moja grupa stała chyba w odwodzie a tylko jakaś wydzielona grupa (drużyna czy pluton) poszła na zadanie.

Na tych dowódców nic złego powiedzieć nie mogę. Nawet ten Dembowski. Żaden z nich nie był łajdak.

Któregoś razu latem, nie pamiętam kiedy, cała brygada, czy batalion, pojechaliśmy w lasy janowskie na lubelszczyźnie. Byłem wtedy dowódcą II batalionu 9 pułku KBW w stopniu kapitana. Jednym z dowódców kompanii, którzy byli u mnie to był Gołdyn//. Tylko jego pamiętam. Cały ten masyw leśny był otoczony. Staliśmy dzień i noc. W pewnym momencie słychać było strzały: bu, bu, bu, bu. Zaraz jednak rozległy się komendy:

- Przerwij ogień! Przerwij ogień!. - Za 2-3 godziny znowu: Pach, pach, pach, pach - jak już jeden zaczął strzelać, to potem już wszyscy po kolei. No i znowu:

- Przerwij ogień! Przerwij ogień! - Tak było chyba ze trzy razy. Po jakimś czasie przychodzą do mnie żołnierze:

- Panie kapitanie, tu na przeciwko nas coś... . Czy możemy sprawdzić? - Okazało się, że to dzik. No i zastrzelili tego dzika.

- Tego dzika zawieźć do zbadania - powiedziałem - i do kotła. Żołnierze zjedli go. Dowódca Brygady przyjeżdża, dowiedział się:

- Gdzie ten dzik?

- Nooo, w kotle - mówię

- Kurwa mać! - rozwrzeszczał się - co wyście narobili! Może był z włośnią?

- Panie majorze, badanie zrobione. -

Tam było dość duże zgrupowanie. W nocy starali się przebić [przez pierścień oblawy]. To taki był jeden z fragmentów tego. Nie pamiętam już przeciwko komu była ta operacja. Tam to nawet dwa razy byliśmy. Później już były drobne sprawy.

Potem byłem zastępcą dowódcy pułku do spraw liniowych i wtedy już żadnych wyjazdów na akcje nie było. W międzyczasie byłem na rocznym szkoleniu w Rembertowie. Na zakończenie kursu przyjechał marszałek Żymierski. Na moje miejsce dowódcy batalionu przyszedł nowy oficer. Jakiś czas później popełnił samobójstwo na tle miłosnym, bo żona go zdradzała.

W 1947 r. poznałem żonę. Jej rodzice na początku to nie bardzo byli zadowoleni. Potem jednak pogodzili się. Nie byłem przecież taki mocno partyjny, ani taki co to tylko nie widzi, tylko [klapki na oczach]. Wystarczy do wszystkiego podchodzić po ludzku, być człowiekiem. Szwagier, czł. AK, nie siedział. Wyjechał z grupą kolegów do Olsztyna.

Zezwolenie na ślub jednak nie od razu dostałem. Dowódca Brygady poprosił mnie i mówi:

- Kapitanie, nie znacie swojej urody (miałem wtedy czarne włosy, niebieskie oczy), nie taką żonę [sobie wybraliście], co was opętało? - Ja się jednak uparłem jak kozioł w kapuście i dowódca Korpusu mnie wzywa, generał Hibner:

- Kapitanie, czy wy musicie zawierać związek małżeński z tą panią? - powiedział o ojcu żony i żebym się zastanowił itd. Jak się uparłem, to wtedy doszło do tego, że przypomnieli sobie o wujku w Ameryce.

[Przy okazji awansu] pisało się życiorys. Najpierw na 2-3 stronach, jak zostałem dowódcą batalionu, to musiałem napisać życiorys na 5-10 stronach, a jak awansowali mnie na zastępcę dowódcy pułku to już na 25 stronach..., sięgając aż do praprababki. Nie robiłem tajemnicy z tego, że ojca brat był w Stanach Zjednoczonych

Przesłany zostałem do Łodzi na zastępcę dowódcy pułku do spraw liniowych, bo ta jednostka na inspekcji wiosennej otrzymała stopień niedostateczny ze szkolenia. Jak przyszedłem, za dwa lata miała już stopień dobry z wyszkolenia. Wtedy stałem się niebezpieczny. Miałem być przeniesiony na zastępcę dowódcy Brygady Podhalańskiej, bo tam znowu coś było nie tak z wyszkoleniem. Planowali też wysłać

mnie do szkoły w Moskwie. Dowódca korpusu Hibner chciał mnie tam przenieść, jednak „Informacja” wojskowa była wszechwładna. Uznano mnie za politycznie niepewnego, bo mogłem wyprowadzić pułk przeciwko władzy ludowej i w 1952 r. zawiesili mnie a w 1953 r. zwolniono mnie profilaktycznie z wojska.

Wzywają mnie na rozliczenie do Urzędu Bezpieczeństwa, do jakiegoś tam kadrowca. W torbie miałem małą, damską, „piąteczkę” (pistołecik). Akurat na tą broń nie miałem zezwolenia. No i pierwszym biurze przepustek pytają się mnie:

- Czy mam broń?

- Nie. - Idę dalej. Po chwili drugi wartownik pyta się mnie:

- Czy mam broń?

- Nie. - Później dopiero złapałem się za głowę: Co ja zrobiłem, przecież teraz to mnie mogą... . A ten człowiek taki głupi. Poszedłem tam na rozmowę i mówię:

- Naprawdę nie wiem jaka jest przyczyna mego zwolnienia - a ten mi ordynarnie odpowiedział, żebym więcej się tym nie interesował i żebym by zadowolony, że tak się rozstajemy. Wracam z powrotem i myślę: teraz mnie zrewidują. Na szczęście jednak nic się nie stało.

Jak mnie zwolnili to nawet raportówkę sprzedałem, bo nie miałem za co dzieciom chleba kupić. A teraz to mówią, że jak był w PZPR to rozkosze takie mieli, a to przecież aż przykro mówić.

Pojechałem więc do teściów, którzy mieszkali w Białymstoku, żeby pracę mi znaleźli. Poszedłem też do sekretarza komitetu [partii].

- No jaki macie zawód?

- W wojsku byłem. Zrobiłem podchorążówkę, potem wysłali mnie na Wyższą Szkołę Oficerską do Rembertowa, po jej ukończeniu zostałem dowódcą batalionu, a następnie zastępcą dowódcy pułku.

- Białystok zniszczony, to pójście na pomocnika murarza i zrobicie zawód - powiedział sekretarz.

Będąc w Łodzi dowiedziałem się, że organizowała się Obrona Cywilna, no i w zakładach w Tomaszowie Mazowieckim potrzebowali kogoś na stanowisko szefa Obrony Cywilnej.

Przyszedłem do tych zakładów i zostałem szefem Obrony Cywilnej. Jako szefowi podlegała mi straż przemysłowa, milicja wojskowa. Jako pierwszy w województwie łódzkim zorganizowałem koło PCK, dużo pracowałem społecznie w Lidze Obrony Kraju. Później zacząłem polować, układać psy. Potem w szkole mnie zaangażowali, bo skończyłem odpowiedni kurs. Uczyłem przysposobienia obronnego ze szczególną uwagą na udzielanie pierwszej pomocy w nagłych wypadkach.

Jak Gomółka doszedł do władzy to poszedłem do WKU w Tomaszowie, żeby dokumenty mi dali, żeby zobaczyć za co mnie zwolnili. Nie chcieli, ale postraszyłem Gomółką i dali. Czytam tę notatkę „Informacji”, która była powodem mego zwolnienia: „Pochodzi z rodziny inteligenckiej, ojciec był leśnikiem, (wujek) ojca brat był w Stanach Zjednoczonych i utrzymuje z nim korespondencję, teść walczył w legionach i pochodzi z rodziny szlacheckiej - herbowej. Szwagier był w AK. Słucha „Wolnej Europy” co potwierdził w rozmowie ze mną - napisał szef „Informacji”. Politycznie niepewny, profilaktycznie zwolnić - brzmiała decyzja tegoż szefa.

Jak to było [z „Wolną Europą”]. Byłem w Łodzi zastępcą dowódcy pułku. Mieszkałem na Strzelców Kaniowskich na piętrze i obok - przez ścianę - mieszkał szef „Informacji” w moim pułku, w stopniu majora, - Cymiel, Żyd//. Po pracy mówiliśmy sobie na „ty”. Przychodzi raz do mnie i rozmawiamy, rozmawiamy i w pewnym momencie mówi:

- Eee Józek, ty słuchasz „Wolnej Europy”? - nie spytał tak wprost, ale... . - Mną aż zatrzęsło, ale odpowiedziałem:

- Słucham, a co? Ty mnie nie wierzysz? Słucham. - No i potem tak się to znalazło w raporcie „Informacji”.

- W domu żony rodziców odbywały się narady partyzantów, szczególnie „Młota”. Wiedzieli kiedy idą na Siemiatycze, kiedy tu, kiedy tam. Wszystko to tam u nich się odbywało.

Mój rodzony brat był dyrektorem Muzeum Wojska w Białymstoku. Nie był w KBW. Prosto z wojska poszedł na szkolenie do Akademii Medycznej w Białymstoku. Tam zachorował na płuca i został przeniesiony do rezerwy. Zrobił magisterium i założył to muzeum.

Danuta Koszyła, żona: Urodziłam się w Warszawie w 1930 r.. Moi rodzice mieszkali wtedy w Długiej Kościelnej, ale pochodzę ze wsi Sytki. Leży ona pomiędzy Siemiatyczami a Drohiczyńnem. Moi rodzice wywodzą się ze szlachty. Jestem po mieczu i po kądzieli... herbu Radwan. Mamy panieńskie nazwisko to Rybińska//. Pochodziła spod Lublina (rocznik 1897, zm. 1983), (jeszcze jako wdowa pracowała w banku) natomiast dziadkowie Mikiewiczowie, rodzice ojca (to był drugi mąż mojej mamy), mieli majątek Długa Kościelna, to z drugiej strony Warszawy, tam gdzie stacja Miłosna. Mój tata skończył SGGW, był najmłodszy, bo było ich 6-ciu Mikiewiczów i jedna córka. Ona z kolei skończyła Szkołę Sztuk Pięknych, czy jak to tam się dawniej mówiło. Brat ojca, wuj Waclaw studiował w Zurychu, wuj Henek też gdzieś..., tak że tylko mój ojciec i jeszcze jeden jego brat skończyli SGGW. Po drugim bracie mego ojca syn jest we Włoszczowej. Ten najstarszy, który kończył studia w Zurychu, już nie żyje. Mieszkał w Olsztynie. Jak ojciec skończył SGGW, to zarządzał majątkiem w Długiej Kościelnej, ale dziadek, jego ojciec zmarł, babcia zmarła i wtedy - z niewiadomych mi powodów - rodzice przenieśli się do Siemiatycz. Tatusz pracował tu w „Banku Ziemiakim”, później w Bielsku pracował a my mieszkaliśmy w Sytkach. Rodzice dostali tam gołą ziemię. Nie wiem czy oni ją kupili, czy jakoś po niższej cenie ci ochotnicy z 1920 r. dostawali. To było zupełnie gołe pole po wykarczowanym lesie. Dopiero tam rodzice się pobudowali. Do tego momentu mieszkaliśmy w Siemiatyczach.

W 1934 r. ściągnął tatusia na Wołyń hrabia Czacki//. Między Kownem a Łuckiem miał majątek. Wtedy wydzierżawiliśmy Sytki i wyjechaliśmy na kilka lat na Wołyń, bo bardzo upadł ten majątek Czackiego, bo młody Czacki - Tadeusz - strasznie pił, w karty grał i to wszystko zeszło na manowce, no i Czacki tatę mego ściągnął, żeby tam to na nogi postawił. // Tam chodziłam do 2, 3, 4, i 5 klasy. I tam po białorusku się uczyłam. W tej szkole było nas Polaków tylko troje a reszta to byli Białorusini, tak że tylko tyle co musiałam to uczyłam się po polsku. W domu byłam ciągle pilnowana, poprawiana, ale tą naleciałość miałam długo. No to w tym majątku u hrabiego Czackiego ojciec był 4 lata. To były dwa majątki: ojca i syna i mój ojciec zarządzał tymi dwoma majątkami. Oczywiście stanowiliśmy tam elitę [miejscowego społeczeństwa]. Tu, w Łucku, mój brat (starszy o 7 lat, z pierwszego małżeństwa mojej mamy, miał więc na nazwisko Kurnatowski Jerzy//) zrobił „dużą” maturę - „małą” zrobił w gimnazjum w Drohiczyńnem.

To szczęście że późną jesienią 1938 r. wróciliśmy [do Sytek], bo mojej mamy brat, który też był administratorem majątku u jakiegoś hrabiego i tam go Ukraińcy zamordowali w 1939 r. [jak wybuchła wojna]. Zamordowali wujka i ciotkę, a chłopcy uciekli oknem. Później Niemcy ich wywieźli. Jeden był w Dachau, a tamci dwaj to nie wiem. Później byli jakoś w armii Andersa. Nie znam tej historii, w każdym bądź razie wszyscy trzej wrócili. Rodziców grobu nie znaleźli. Nie wiadomo.

Gdy wróciliśmy do Sytek jesienią, to brat poszedł na praktykę do majątku Wizna w łomżyńskim, bo chciał iść na SGGW.

W 1939 r. Niemcy przyszli i wycofali się [po kilkunastu dniach]. Mężczyźni to ukrywali się przed nimi, bo się bali, żeby nie aresztowali czy rozstrzelali. Pamiętam tylko, że mój tata z bratem uciekł, ale Niemcy ich złapali i trzymali w Siemiatyczach. To poszłam tam z koleżanką, bosso jak pamiętam, tam trochę mama naszykowała do zjedzenia, żeby im zaniosiła, ale po kilku dniach obaj wrócili.

W tym czasie tak groźnie nie było, dopiero zaczęło się jak przyszli za nimi Sowieci. Przed tymi bojami, żeby nas nie okradli do reszty z jedzenia, to żeśmy zakopali dwa kamienne garnki z konfiturami, to dziś żeśmy ich nie znaleźli. I zdawało nam się, że będziemy pamiętać, były między tą a tą jabłonią, a gdzie tam... Pierwsze aresztowania zaczęły się chyba na wiosnę 1940 r.

Te pierwsze wojska sowieckie to rabowały. Wsio, co tylko można było. Czy to była świnia, czy to były krowy, wszystko pędzili. Całe tabuny bydła pędzili drogą. Oni na koniach, na oklep, bez siodła. Ja nie widziałam, żeby tam który siedział w siodle. W takich długich, postrzępionych płaszczach, czapki z tymi czubkami.

Tatusz mój był ochotnik z 1920 r. I za to maltretowany był ciągle. Przez NKWD był aresztowany za to, że był piłsudczyk. To, że z więzienia sowieckiego wyszedł obronną ręką to zawdzięczamy tylko Żydom. Naczelnik NKWD w Siemiatyczach to był Żyd. Nazywał się Kuruś//. To nie był miejscowy. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Siemiatyczach. Miasteczko było bardzo zażydzone. Po tej czystce niemieckiej na pewno już takie nie jest. Mieszkaliśmy tam kilka lat, dzięki temu bardzo szerokie znajomości wśród maluczkich i większych rodzice mieli, tak że jak tatusia aresztowali w Wielki Piątek 1941 r. (pamiętam taki był straszny śnieg - w marcu była Wielkanoc), to jeszcze prosiliśmy tego Kurusia, żeby pozwolił nam odwiedzić tatusia. Brat go odwiózł, bo ojciec wtedy leżał. Był taki pokręcony. Lumbago go tak pokręciło. Pamiętam, że sanie wymoszczone były kozuchami i różnymi kocami i takiego mój brat odwiózł do Bielska późnym wieczorem. Jak przyjechali do nas o godz. 9 rano aresztować ojca to wyjechali dopiero o 16-tej. [Tyle czasu trwała rewizja] Trudno sobie wyobrazić czy jeszcze dokładniej można przeszukać mieszkanie. Większość książek w bibliotece były wytrąsane. Książki do nabożeństwa mojej babci i mamy tak samo, jeszcze babcia miała taką starą tą książkę, to się rozleciała w drobny mak. Każda szuflada [była przeszukana]..., to się nie da opowiedzieć. Wszystko, wszystko, tyle godzin..., a jeden cały czas siedział koło ojca i nie odstępował go, a Kuruś dowodził tymi czterema czy pięcioma, którzy tą rewizję robili. A ile Kuruś nagłowił się nad laską tatusia. To była taka specjalna laska do badania gleby. Była długa, ostro zakończona, by łatwo wchodziła w ziemię, a z boku miała rowek i jak wkładało się ją w ziemię, to tata przekręcał, dzięki czemu ziemia zostawała w rowku i tato wiedział, jakie są warstwy gleby. Ładnie była zakończona, ładną miała rękojeść, łąncuszek. Szto eto, szto eto? - pytał się Kuruś. Ojciec mu tłumaczył, ale to do niego nie docierało i zabrał.

W Bielsku był taki Żyd, który nazywał się Syr, drugi był Minc czy Mienc, to brat od razu tam do nich wstąpił i powiedział, że ojca tu przywiózł//. Jak mama pojechała na drugi dzień o 9-tej do Bielska, żeby tam coś ojcu zawieźć coś ciepłego jeść, to nic nie pozwolili [podać], tylko można było przez ten „wizyrek” popatrzeć na ojca. Ojciec powiedział wtedy do mego brata, żeby nic mama nie przynosiła, bo właśnie ten Żyd i jeszcze inni tak donosili ojcu jeść, że I tym Żydom, o dziwo, enkawudziści pozwalali a rodzinie nie. I tak właśnie tata przeżył to, bo gdyby nie Żydzi no to ja nie wiem... . Pewnie z głodu by umarł. Na szczęście dzięki pomocy tych Żydów wyszedł na wolność niedługo przed Niemieckim atakiem.

W NKWD bity nie był, tylko ciągle słyszał, że ty achotnik, ty kułak i oddaj aruzje, bo ojciec mój był myśliwym. My dubeltówkę w futerałach schowaliśmy z bratem w taką drenę pod mostem. Jak z drogi do naszego gospodarstwa był wjazd i był taki most i myśmy tam wsadzili z tym futerałem. Nikt jej tam nie znalazł, ale ona biedna tak tam porzewiała, bo to przecież woda nieraz płynęła, ale no nie wiedzieliśmy co zrobić i tam ją schowaliśmy. I ciągle o tą broń go pytali, a tata tłumaczył, że jak w 1939 r. pierwsze wojska weszły, to zabrali. Myślę, że to z tej Rogatki ci Ukraińcy czy Białorusini donieśli, [że tato ma broń - był przecież myśliwym], nie sądzę żeby zrobili to Żydzi. bo to od nich [Białorusinów] meli takie informacje, gdzie w rodzinie był syn wykształcony, to na pewno od nich wiedzieli.

W tym czasie chodziłam dwa lata do klasy 6-tej, bo nie było dalej, a chciałam jeszcze czegoś się nauczyć, więc chodziłam 2 lata do 6-tej klasy. W jednym roku uczyłam się rosyjskiego, a w drugim białoruskiego. To była taka wiejska, drewniana, mała szkółka u nas w Sytkach. Mało u nas było Białorusinów. Pomiedzy nami a Siemiatyczami jest taka wieś Rogawka, to tam dużo było tych Białorusinów. Myśmy na nich mówili: „chachły”, bo to ani po rusku, ani po polsku, nie wiadomo jak [mówili]. Nie wiem, czy

to byli Ukraińcy czy Białorusini, a u nas w Sytkach nie. Chyba żadnego Białorusina nie było. Było kilku zamożnych gospodarzy, szlachty trochę, ale Ruskich to chyba nie było.

Jakos nie przypominam sobie, żeby u nas pokazywała się sowiecka milicja. „Priedsedatiele” był Maćkowiak, mieszkał w środku wsi, ale z tyłu wioski//. Tych Maćkowiaków było kilku we wsi, to trudno teraz powiedzieć który to. To był taki sobie „średni” gospodarz. Pamiętam, że często się mówiło [w domu] o tym Maćkowiaku, że to on się przysłużył, że to jest jego robota [aresztowanie ojca]. Nie wiem co się z nim stało. Jak wyjeżdżałam do Olsztyna w 1946 r. to jeszcze żył. Miał córkę i syna. Tego syna kolega jego niechcący uderzył kamieniem w skroń jak krowy paśli i ten zmarł, a jego córka była razem ze mną w gimnazjum w Ostrożanach. Staśka chyba miała na imię. To na pewno Maćkowiak jest winien, że wywieźli Kurków, bo skąd by wiedzieli [NKWD], że jego synowie to ksiądz, oficer i prawnik.

W sąsiedniej wiosce, w Zajęcznikach, to „preidsedatiela” akowcy jeszcze za Niemców rozwalili. Wyprowadzili za stodołę i jak psa zastrzelili. Toż tyle ludzi nasprzedawał na Syberię. Nie pamiętam jak się nazywał.

Jak pod Drohiczynem na Bugu Sowieci budowali linię obronną (bunkry, umocnienia, jedna linia to były działa a druga linia nie była jeszcze wykończona, jak Niemcy wkroczyli to to było w trakcie budowy i działa zostały w tych bunkrach) - to bliżutko było od nas, a po drugiej stronie Bugu byli już Niemcy - to u nas mieszkali oficerowie sowieccy, których zawsze wspominaliśmy barrrdzo mile. To był starszy lejtnient Andrejew - wnuk tego pisarza Andrejewa i Wsieświackij//. Wsieświackij miał w Rosji żonę i dwie córki, to nawet nie mogły przyjechać. Zdjęcia mu przysyłały. Widziałyśmy te jego dziewczynki i żonę. Paczki dostawał bardzo często. Po kilku oficerów mieszkano u sąsiadów, ale nie było takie przypadku w okolicy, żeby do któregoś przyjechała żona.

Andrejew i Wsieświackij tak byli serdeczni, tak byli przyjaźni, że jak dostawali paczki od rodziny, to nawet tej paczki nigdy nie rozpieczętował, tylko przynosił do mojej mamy i mówił:

- Sofia Iwanowna, pażausta. - Jeszcze wtedy moja babcia staruszka żyła, to ten Andrejew strasznie za babcią przepadał. Całymi godzinami rozmawiali, no i z mamą też, bo moją mamą studia kończyła w języku rosyjskim. I w szachy, i w karty - w brydża - tak sobie z tym Andrejewem i Wsieświackim... . A mieszkał trzeci taki skurczybyk, politruk - politiczeskij rukowodzitiel - zawsze taki: adziekafon to na 5 km, to już tylko po tym się czuło, że on przychodzi. To już wszystkie karty, wszystkie szachy, wszystko kryło się [przed nim].

Andrejew nieraz brał mego brata:

- Pojedziesz ze mną - mówił i tak cały dzień [brat] przebimbał, gdzieś tam z tym lejtnientem jeździł, żeby już na ten „szarwark” nie ganiać, bo przecież takie ciężkie były te... . Pamiętam, że brat był na komisji wojskowej. Był już ogolony, już miał kartę do wojska. Tylko czekał... Nie zdążyli wziąć.

Jak Andrejewjechał na urlop do Lenigradu, bo był z Leningradu (to było niedługo przed niemieckim atakiem), to prosił moją babcię, żeby mu dała obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, bo on miał matkę - staruszkę. I od babci dostał ten obrazek i w malusieńką torebkę z klombu naszego przed domem wziął ziemi z Polski, żeby zawieźć matce. Pisał do nas list z Lenigradu, że matkę zastał zdrową, że wszystko jest w porządku i - pamiętam ten zwrot: „U nas oczerediej niet, no tolko nie patamu czto tawarów mnoga”, że u nich nie ma kolejek w sklepach, tylko nie dlatego, że towarów dużo. Tak, że była u nich nędza straszna. I więcej już się nie odezwał, tak że chyba zginął.

Jeśli chodzi o zachowywanie się Rosjan w terenie, to sama czasami już nie wiem. Już nieraz mi buzię zamknięto jak się włączam w rozmowę. Znęcanie się „bajców” nad Polakami? Gwałcenie? No, wprawdzie ja miałam wtedy 13-14 lat, ale moje koleżanki miały starsze siostry. Jak nad tym Bugiem budowali te umocnienia, to tam wojska było do diabła i trochę. To on jak przychodził wypić mleko, to on nie przyszedł bez tej flądry suszonej, tej ryby, którą dostawali, bez kawałka cukru, bo mieli w bryłach, w głowach, takie łupane były. Nieraz mama przyniosła z ogródka warzywa to [częstowani] mówili ze strachem:

- Ja nie magu, mnie nie wazmożna, ja nie magu. - No to mama wtykała jak mogła, to za rubaszkę

nakładła, żeby tylko ten chłopak... . Oni nic nie kradli, nic nie wzięli. No, ja nie wiem. Może gdzie indziej było inaczej, ale u nas... . Ja nic [takiego] nie mogę powiedzieć, a przecież trzy lata trwała ta okupacja.

Pamiętam dobrze ten atak Niemców. To było w niedzielę 22 czerwca, a w piątek - jeszcze mój brat był wzięty wtedy na podwodę - wywieźli z Sytek rodzinę Kurka. Jeden syn był księdzem, drugi oficerem (w stopniu kapitana), a trzeci prawnikiem. Wszyscy trzech gdzieś tam zginęli, a tu matkę, ojca i dwie dziewczyny wywieźli. Nazwisko Kurek. Te dziewczyny wróciły potem z wojskiem polski, w berlingowskiej armii. Jedna nazywała się Marysia, a druga to nie pamiętam. Ich rodzice zmarli tam z głodu, z zimna. No to wtedy właśnie w piątek ich wywieźli, już nie pamiętam dokąd brat ich zawiózł - chyba do stacji w Siemiatyczach, była ok. 20 km od nas. Brat wrócił stamtąd dopiero na drugi dzień. Byliśmy pewni że już nie wróci, no ale wrócił na drugi dzień wieczorem.

W sobotę przybiegł taki mały chłopak, 7-letni, od tego Wilińskiego, co to potem na UB siedział i powiedział:

- W Sytkach już są samochody i będą nas wywozić - i poleciał do domu, gdzie wszyscy się już pakowali. Taki mały kurier. A na tych koloniach Sytki poza moim ojcem to było jeszcze 4 czy 5 takich ochotników. To dlatego później było tam tak dużo partyzantki i dlatego NKWD było tak wściubskie i Niemcy też. Wtedy w czerwcu 1941 r. to była taka pierwsza masowa wywózka. Aresztowania oczywiście były, ale masowa wywózka u nas to była dopiero w czerwcu 1941 r.

Ostrzeżeni przez małego Wilińskiego przygotowaliśmy się do wywózki, gdyż nie mieliśmy zamiaru uciekać, bo nie było gdzie. Czekaliśmy aż nas zabiorą. Mieliśmy już zapakowane to co można było ze sobą wziąć i czekaliśmy aż nas zabiorą, a tu nagle gdzieś o godzinie 1 czy 2-jej w nocy usłyszeliśmy pierwsze strzały armatnie. Tatuś już nie kładł się spać tylko był w ubraniu przygotowany do wywózki. Pierwsze strzały i ojciec biegnie do drzwi otworzyć je, że to już po nas przyjechali, a tu raptem dalej kanonada. Co się dzieje? Nic nie wiemy. Po krótkiej chwili biegną żołnierze sowieccy i tato pyta się:

- Szto eto słucziłoś?

- Da niczewo - odkrzyknął któryś - eta pieriestrietka! - i wszystko ucieka. Gdzieś o jakiejś 9-10-tej patrzemy: od Sytek jadą czołgi. To już jechali Niemcy i na tych „emzetkach” - motorach z przyczepami. Pamiętam te swastyki na przyczepach, bo to niektóre były taką plandeką zakryte, nit nie siedział obok, tylko z tyłu. I na tych czołgach też te swastyki były. Kurz był jak diabli, bo tam nie było bruku, tylko taka polna droga, a dzień upalny. Jak dojechali do nas zobaczyłam że czołgi są całe pokryte kwiatami. Również jadący na motorach Niemcy tutaj za koalicijkami mieli powsadzane kwiaty. Gdzie tylko można było tam wszędzie były kwiaty. Radość, że nas wyzwolili spod okupacji sowieckiej. Później tak samo witaliśmy Ruskich.

Mój tato w czasie okupacji i po wojnie nie był w organizacji, bo był bardzo schorowany. Kiedy mego tatę aresztowali Niemcy to był w Drohiczynie tłumaczem w komendzie żandarmerii gimnazjalny kolega mego brata - Czesiek Terlikowski i ten chłopak wszystkich powiadał o tym kiedy po kogo przyjadą [Niemcy]//. Był też jeszcze taki drugi, ale pamiętam tylko, że nazywał się//. Też razem z bratem do gimnazjum chodził, do tej samej klasy.

Właśnie Czesiek Terlikowski dał znać memu bratu, że 12 czerwca Niemcy przyjadą po mego ojca. Mój brat prosił Czeška:

- Zrób wszystko, żeby nie przyjechali 12-go, bo 11-go zmarła babcia i 14-go mamy pogrzeb babci. Brat nikomu z nas nie powiedział, że po ojca przyjadą. Dopiero jakżeśmy babcię pochowali 14-go czerwca w Boże Ciało w południe, a wieczorem przyjechali po ojca. Ojciec nie mógł uciekać, bo to był już kaleka ze względu na te lumbago. Cały czas chodził o laseczce. No gdzież mu było uciekać jak to było chudziutkie, szczuplutkie i ciągle schorowane.

Gdy w lesie k. Bielska rozstrzeliwali Polaków to ojca zabrali do kopania grobów. Nie wiedział czy to dla siebie kopał czy dla kogoś. Jak wrócił do domu to już był bardzo wycieńczony, bardzo chory.

Ja wróciłam [wtedy] z robót, z „szarwarku” tak zwanego. Ojciec siedział na takim małym stołeczku

przed kuchnią, w której palił się ogień. Gdzieś wysoko na piecu paliła się taka mała karbidówka, to jak ja przyszłam to ja ojca nie poznałam. Myślałam, że to jakiś uciekinier, bo jak Niemcy rozstrzelali w Tonkielach jeńców radzieckich, to bardzo wielu z nich tam uciekało. I oni nieraz tak przychodzili wieczorem, to się jeść dało czy na drogę chleba, czy co tam..., co samemu się miało. No i właśnie dlatego myślałam, że to jakiś uciekinier, bo tatuś był ogolony, taki spuchnięty, taki grubas, a zawsze to był chudzina taka. No to nie patrzyłam na niego, później dopiero tatuś się rozplakał, że ja go nie poznałam. Dopiero jak się odezwał to go poznałam.

Czesiek Terlikowski bardzo często informował, że żandarmi mają donosy, gdzie są [ukrywane] dzieci żydowskie, gdzie są Żydzi przetrzymywani i jeśli w porę zdążył poinformować, to się ukryli. Nie wiem czy Czesiek jeszcze żyje. Dużo tutaj ukrywało się tych Żydów, ale w biedniejszych wisokach, bo tutaj to się bali, i myśmy się bali i Żydzi się bali, bo Niemcy tu częściej się kręcili, bo to świnie zabrali, to cielaka, to jałówkę a do biednych to nie ma czego jechać, więc tam spokojniej było.

W sąsiedniej wiosce, u naszych znajomych, był taki mały chłopczyk 4 latka, żydek. Lucek miał na imię. No i ze starszym chłopcem tego gospodarza był w polu. Niedaleko wiódł gościniec wierzbami wysadzany. Furmanka stała koło takiej wierzby i ci dwaj chłopcy bawili się, a gospodarz orał, szedł za pługiem. W pewnym momencie mały Lucek zobaczył, że jadą Niemcy bryczką, a Niemcy jak jechali bryczką to zwykle na koźle siedział duży wilczur, albo biegł obok. Ten dzieciak chyba słyszał i zaczął uciekać. Krzyczał:

- Tate, tate! - Na bryczce jechał m.in. komendant żandarmerii Gruszecki//. Strzelał i zabił tego chłopczyka. To był Niemiec, tyle, że mówił po polsku. Może to był jaki poznaniak, albo ślązak. Nie wiadomo, czy oni wiedzieli, że te dziecko tam jest, czy przypadek zrządził.

W Drohiczynie była olejarnia. Żyd Dufcio miał tą olejarnię//. Bardzo często tam jeździłam z rodzicami, bo tam się robiło olej, i ten maków, który inwentarzem był skarmiany. Ten Dufcio miał 5-ro czy 7-ro dzieci, i to jedno za drugim. Nie wiem co z tym Dufciem się stało, w każdym bądź razie tą Dufciową zabrali. To opowiadał nam Czesiek Terlikowski. Z tym, że ją znaleźli na wsi, bo ona się ukrywała i ktoś doniósł i ją zabrali z tymi dziećmi. W Drohiczynie jest ogromna skarpa, gdzie był klasztor nad zakolem Bugu, który jakby podmywał tą taką wielką skarpe. I ten Gruszecki wyprowadził Dufciową z tymi dziećmi na tą skarpe, oczywiście w towarzystwie jeczsze kilku swoich policmajstrów. Chciał sobie urządzić przedstawienie, żeby najpierw strzelać do dzieci, tak by spadały ze skarpy. Ta Dufciowa uklękła i po cholewach, po butach Gruszeckiego całowała i prosiła, żeby ją pierwszą zastrzelił. A ten akurat od najmniejszego te dzieci ustawił i tak spadały one do Bugu. Podobno kilkoro wypłynęło po drugiej stronie w zaroślach, to zostały gdzieś pogrzebane. Gruszecki jeszcze w czasie wojny wyjechał i potem zastąpił go inny komendant.

W czasie okupacji niemieckiej było tu dużo band, w których było sporo uciekinierów z obozów jeńców [dla Rosjan]. Przywozili ich do Tonkiel, to jest niedaleko od nas, i tam ich rozstrzelali. To u nas nawet słychać było te egzekucje. Pamiętam chodziłam na roboty do majątku, to jakżeśmy pracowali po południu w polu przy zbieraniu kartofli, to była wtedy piękna jesień jak w 1939 r. (a to był 1942, 1943 r.), tak że było słychać jak te transporty jechały, bo w linii prostej do szosy Drohiczyn - Siemiatycze to było jakieś 5-6 km, a za jakieś 2-3 godziny słychać było serie [broni maszynowej]. Niektórzy uciekali, żeby przeżyć, a byli i tacy, którzy skombinowali broń i rabowali, zabijali. Były u nas takie wypadki. Memu bratu to pistoletem w broń stuknął, ale już nie pamiętał co on chciał od brata. Myśmy wszyscy byli spędzeni do kuchni: rodzice, brat i ja a oni tylko z tymi karabinami w ręku, jakieś takie krótkie mieli w rękawach ukryte - chyba „użyny” - tak że jak wchodził, to nie było widać wogóle tego. Kilku ich było. Ubrani byli porządnie, ciepło, no bo to zrabowali. No i właśnie nas trzymali w kuchni a tamci buszowali [po domu]. Jak oni poszli, mamusia wychodzi do przedpokoju i mówi do ojca:

- Stasiu, Stasiu patrz. Są drzwi od ganku na rozcież otwarte. Co oni tu robili? - W korytarzu stał

kufier, jak to dawniej były takie kufry na strychach z zimową odzieżą - No tak - mówi mama - kufier otwarty. - No i stąd oni byli tak dobrze ubrani, bo gdzie poszli to co najlepszego mogli na siebie wziąć. Pamiętam tatuś miał - jak to dawniej nosili - taką pelisę na baranie, kryte futro. No tak nas obrali, że jak przyszła zima, bo to jak nas obrali to była jesień, i pędzali nas Niemcy na szarwark, żeby tą szosę Drohiczyn - Siemiatycze odśnieżać to ja z bratem miałam jedne buty. Jak on pojechał koniem to ja siedziałam w domu, jak ja szłam pieszo te 6 km przez pola, aby tego..., to brat z kolei w domu... .

U nas wybuchały te rakiety V-1. Z Sarnak leciały. Jedna wybuchła całkiem niedaleko w maju. Byłam wtedy w polu. Żyto już było wykłoszone. I taka chwila była jakby przed burzą i nagle żyto tak zafalowało, nie zdążyłam się jeszcze przejrzeć, czy to tylko tu koło mnie, a tu jak nie huknie, że upadłam jak placek, nie wiem już czy ze strachu, czy z podmuchu. U sąsiada strzecha była słomiana, a kamienie były rozrzucone i zapaliły strzechę, tak że sąsiad się spalił. U nas to tylko papa była potłuczona i eternit. To był taki straszny dół, że kamienie stamtąd potłukły dachówkę na naszym domu, a huk był tak straszny, że wszystkie okna się pootwierały, wszystkie się powyrywały zamki, a stół w kuchni pod drugą ścianę podjechał. Niemcy zaraz przyjechali i wybierali wszystko, ale my jednak zdążyliśmy złapać kilka tych kolorowych kabelek (pisało na nich: Telefunken) i plotłyśmy z nich kolorowe paski do drewnianych trepów i do sukienek, bransoletki kolorowe robiłyśmy. Jeszcze kilka kawałków blachy aluminiowej złapaliśmy, to potem chłopcy grzebień z nich robili, bo to przecież atrakcją było mieć ładny grzebień metalowy. Niemcy to piorunem przyjechali. Nie wiem nawet skąd oni tam się od razu znaleźli. I to diabły - najgorzej bałam się tych na motorach. Jak jechał to pole nie pole, przez rów. Jak na łące były wąskie rowy odwadniające, kurcze, to tym motorem jak przeskoczył, to... .

Te bandy złożone z jeńców sowieckich mieli często mieli potyczki z bojówką NSZ, ale że oni nie byli z naszej parafii, to nic o tym nie wiem, tyle że oni właśnie próbowali oczyścić teren z tych band. Jednak w naszej wsi samoobrony mieszkańcy nie powołali.

Niedaleko nas był dwór w Czartajewie. Kilka włók mieli. Jego właścicielem był p. Ejsmont//. Jego syn w Katyniu zginął, a ich wywieźli Rosjanie w 1940 czy 1941 r. To była szlachta rodowa.

Z drugiej strony Siemiatycz, w kierunku Hajnówki, był majątek Altein, którym władali państwo Kobylańscy//. To też Sowietom rozgrabili to dokumentnie. Najpierw pędzali tam ludzi do roboty, a potem tym wszystkim z czworaków rozdali to wszystko, rozgrabili. Pamiętam ten majątek, bo tam bardzo często z rodzicami jeździłam. Gdyby te sprawy z wojną inaczej się potoczyły, gdyby nie ta partyzantka, to mój brat prawdopodobnie ożeniłby się z tą Krysią Kobylańską. Takie były zażyłe stosunki. To był piękny majątek. Pamiętam te pawie chodzące w parku. To było coś pięknego. Była taka śliczna aleja świerków srebrnych, miała chyba z kilometr długości, która wiodła do budynku. Jak się już dojeżdżało bliżej to zawsze wybiegały na przywitanie trzy psy: seter irlandzki rudy, pointer i wyżeł, bo tam przecież i pan Kobylański polował i jego syn Tadek.

We wsi Bujaki, niedaleko nas, też mieszkała zamożna szlachta.

Jak Ruskie przyszli drugi raz to to było już nie te wojsko. Już nie mówię o ubraniu, o mundurach, już nie mówię o wyżywieniu, bo przecież nas karmili z tych swoich kuchni, bo siedzieli u nas dłużej. Niemcy jednak na Bugu trochę się opierali. Kilkaset metrów za naszymi budynkami była linia „Katusz”, które ja pięknie pamiętam i ten krzyk:

- Huraa! W pieriod! Za rodzinu! Za Stalinu i za Polszu! - To słysząc było i gwizd tych „Katusz”. Po chwili otwierają się drzwi, wchodzi oficer i pyta się:

- Czy jest kto ranny? Czy się coś stało? Wsio w pariadkie? - drzwi zatrasnęły i koniec. - Za jakiś czas przychodzi drugi i pyta się znowu:

- Czy się coś stało? Czy ktoś ranny? Czy jeść... . Jak jeść, to szybko przynosił bojec z ich kuchni jakieś kluchy, makarony, zupy i sosy. Tak, że to byli zupełnie nie ci żołnierze co w 1939 r. Ameryka ich wyżywiła i odziała. To już były mundury, to już były buty, to nie były szmaciane owijacze, tylko krótkie kozaki. Nawet jeden oficer dał mi takie buty - sapagi.

- Dziewuszka, butów nie imiejesz? - spytał.

- No, nie imieju - odpowiedziałam. - Dał mi takie trochę za duże buty z cholewami, a takie to były strasznie modne. Nie miały usztywniaczy, tylko takie harmonijki. Boże, co to była za radość. Skarpetki na drutach zrobiłam sobie z owczej wełny, to panna całą gębą byłam. Jak do Drohiczyna do kościoła poszłam, to się dziewczuchy oglądały, skąd ja takie buty mam, bo same chodziły w takich trepach.

Bywał też u nas i „Rekin”, Zbyszek miał na imię//. Wiem, że był w NSZ-cie. O tym to już znacznie później się dowiedziałam. [Przed tą akcją na Siemiatycze to] narada była właśnie u nas w domu, bo „Młot” bardzo często u nas bywał i stąd wiem//. Na tej naradzie był też „Łupaszka”. Pamiętam jak przyjechały furmanki. Pojechali tymi furmankami. Przed wyjazdem to jeszcze był apel. Odśpiewali: Pod twoją obronę. „Młot” jak zawsze był w pelerynie, którą miał w nieładzie. Pociągał nogą - takiego go pamiętam. Jak wyjeżdżali to już było ciemno. Nie wiem ile tam kilometrów przed Siemiatyczami mieli się rozsypać, odciąć wszystkie linie telefoniczne dookoła Siemiatycz i wtedy dopiero ruszyć do miasta. Widziałam z daleka (jakieś 8-10 km w linii prostej od naszego domu) cały ten ostrzał w Siemiatyczach. Najpierw pojawiły się rakiety na znak, że wszystko odcięte i znikąd pomoc nie przyjdzie. Ten ostrzał prowadziła grupa od „Młota”. Po tej akcji „Rekina” już chyba więcej nie widziałam.

Stach „Szczęsny” to Stanisław Karolkiewicz - on to w Warszawie teraz jest//. Zbyszka i Stacha to poznałam jeszcze w czasach okupacji. Od brata była wtedy młodsza jakieś 7 czy 8 lat, tak że byłam podłotek a to byli dojrzały mężczyźni. Te imiona to od dawna słyszałam, bo oni pomiędzy sobą to nie używali pseudonimów tylko imiona. „Zbyszka” to znałam lepiej jak wielu innych, może dlatego że od dawna znał się z moim bratem, nie pamiętam jednak skąd oni się poznali. „Zbyszek” był chyba starszy od mego brata. Pamiętam wąsy miał, miał taką ładną cerę, taki czerstwy, zdrowy, ładny chłopak. Pochłaniała mnie ich odwaga, ich plany. Koło Drohiczyna są trzy takie wioski: Miłkowice Stawki, Miłkowice Paski czy Paški i Miłkowice Janki. Tam mieszka taka szlachta po mieczu i po kądzieli. Tam nie mógł być żaden mezialians, nikt za mąż stamtąd nie wyszedł gdzieś indziej i o ile mnie pamięć nie myli to Zbyszek właśnie z tych Miłkowic pochodzi. Podobał mi się.

Wszyscy często u nas nocowali. Chleb się piekło [dla nich] w takim piecu chlebowym. Gospodarze przywozili dla nich mięso i wtedy mamusia i jeszcze jednak sąsiadka gotowały i przyrządzały. A fajnie było. Nieraz było bardzo wesoło, bo tam lubili i połówkę postawić. Ktoś tam pilnował, czuwał i wtedy ci spokojnie zjedli i spokojnie spali. „Rekin” i „Młot” tak samo lubili ze wszystkimi na równi usiąść i [wypić]. Zawsze wieczorem, przed wymarszem, był apel i odśpiewanie „Pod Twoją obronę”. Najczęściej to było z 10-12 dwójek. Stali w dwuszeregu. Myśmy mieszkali na kol. Sytki a nie w samej wsi, więc na tych koloniach to nie tylko u nas byli, tak że więcej ich pewnie było. U nas był cały ten sztab. U sąsiadów chłopcy też byli w AK, w partyzantce. Jeden z tych chłopców to nawet był niewiele starszy ode mnie. Nazywał się Stefan Wiliński//. Później jego ojca aresztowali, bo nie mogli tego chłopaka znaleźć. Trzymali go na Mickiewicza na UB. Torturowali tak, że jak wrócił [do domu] to zaraz zmarł. Nie wiem czy wszystkim opowiadał, ale przyszedł do nas i tatusiowi opowiadał, że miał odbite nerki, był tłuczony w pięty, jak dechę na plecy kładli i w tę dechę tłukli. Paznokcie wszystkie miał grube, bo w drzwiach palce przycinali.

Stach „Szczęsny” to był na Wileńszczyźnie razem z gen. Kapustinem//. No i jak był u nas w białostockiem to został aresztowany jakoś tak szybko po wyzwoleniu. Miał u nas swój oddział. No i był czy w Siedlcach czy w Sokołowie w więzieniu.

To wtedy też u nas była narada, na której byli m.in. „Młot”, „Rekin” i zastanawiali się jak go odbić z tego więzienia. Pojechali na tą akcję „willysem”. Ubrani byli w mundury. Mieli też wszystkie dokumenty,

że przyjechali go zabrać, przewieźć, do Białegostoku bodajże czy do Bielska. I tak go wydali, bez żadnego strzału, bez niczego. Byli asekurowani, bo przecież liczyli, że może dojść do czegoś..., a ci strażnicy i ten naczelnik zobaczyli te dokumenty, wszystko pasowało i wydali im „Szczęsnego”. Słyszałam o tym od mego brata, który był w partyzantce u „Młota”. Taka moja pierwsza, cicha, miłość to był właśnie Stach Karolkiewicz. Boże, co to były za modły jak on w tych Siedlcach czy w Sokołowie siedział, Boże, a jakie to były postanowienia, a głodówki w piątek, a ile razy „Zdrowaśki”, a ile razy „Litania” w jego intencji to się nie da opowiedzieć, a jaka to była radość jak przyjechał uwolniony. Przecież wtedy miałam 15 lat. On to tym oczywiście nie wiedział, a skądże. Jak mi się wydaje to Stach był potem w rejonie Suwałk, bo jakiś czas tutaj u nas go nie było. Potem jak się pojawił, to go aresztowali.

Miałam nawet zdjęcia wycięte z pisma, gdzie Stach był na ławie oskarżonych. Proces był w Warszawie. Na ten proces sprowadzony był z Rosji właśnie ten Kapustin. I ten Kapustin przyczynił się chyba do tego, że Stach wyszedł. Nie wiem, czy potem ujawniał się czy nie. Jak UB kręciło się za bratem to wszystkie zdjęcia i wycinki z prasy (w tym m.in. zdjęcie z procesu Stacha Karolkiewicza) spaliłam, a miałam piękne zdjęcia z mszy polowej z „Młotem”, „Rekinem”, bratem. Wszyscy byli. Ołtarz był ze świętych brzoź. Ślub memu bratu w Drohiczynie dawał ks. Gliński, proboszcz naszej parafii, który właśnie odprawiał u nich tę mszę polową w lesie//. To było w 1945 r. gdzieś niedaleko nas. Nie byłam na tej mszy, tylko zdjęcia te widziałam. Pamiętam, że miałam też dwie karteczki zapisane drobnym pismem Stacha. Miały iść do jakiegoś biuletynu. Był to apel poległych, który tak się zaczynał: „Dzień zaduszny, świat głuchy i ponury. W dniu tym nie tylko matki optakują swe dzieci, ale cały naród optakuje swych synów. I tak stoją cisi bohaterowie z Oświęcimia, spod Tobruku, spod Monte Cassino...” itd. Dalej już nie pamiętam. Ktoś przepisywał to na maszynie i wtedy sobie to wzięłam na pamiątkę po „Stachu”.

Mój brat miał na imię Jurek. Niestety, nie pamiętam jego pseudonimu. Jego kolega z oddziału „Młota” nazywał się Wiktor (zdrobniale: Torek) Kotas//. Pseudonimu też nie pamiętam. Już nie żyje. Brat w 1945 r. czy w 1946 r. wyjechał do Olsztyna. Nie ujawnił się. Aż do tego czasu był u „Młota”. Jego kolega z Krupic też był u „Młota” i razem z bratem wyjechał do Olsztyna. Brat został w Olsztynie a tamten do Ornety chyba wyjechał. Ja w 1946 r. też wyjechałam do Olsztyna. Brat się ożenił i byłam u nich kilka miesięcy. Chodziłam do gimnazjum wieczorowego, ale to mi się nie podobało i wróciłam do Sytek, gdzie chodziłam do gimnazjum rolniczego w Ostrożanach, k. Drohiczyna.

Wtedy pojawili się ubowcy, którzy zaczęli czepiać się ojca. Brata szukali. Nas nie było, rodzice zostali sami. Mieli 8 ha gospodarstwa, sad w 1939 r. posadzony. Wszystkie zabudowania nowe, miały 4-5 lat (wszystko było drewniane). wcześniej to była służąca, był parobek, ale jak ubowcy zaczęli jeździć za bratem, ojca ścigać... . Wtedy jeden z UB powiedział do parobka:

- Ty durak. Pójdiesz do wojska i będziesz oficerem, a nie parobkiem. - Dużo parobkowi trzeba było? Zostawił i poszedł. Rodzice najmowali, najmowali ale wtedy to już skórka za wyprawę nie opłacała się, no i rodzice sprzedali to. Brat jak wyjechał to już tu nie przyjeżdżał, a jak w oddziale chodził, to stale zachodził. Ja wtedy pojechałam do Olsztyna, do brata uczyć się, a rodzice przenieśli się do Białegostoku, gdzie wynajmowali pokój. Tato aż do emerytury, przez jakieś 5, może więcej, lat pracował w Białymstoku w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Wydziale Rolnictwa.

W 1948 r. poznałam męża a w 1949 r. wzięliśmy ślub. Oczywiście na początku nie tylko rodzice byli niezadowoleni. Nawet brat mówił:

- Danka, no to jakoś tak nie pasuje. To jakoś tak... . Nie rozumiem tego.

- A daj ty mi spokój. Ja wiem swoje, ty wiesz swoje i nie ma co na ten temat dyskutować. Sprawa przesądzona. - A jak Józek napisał, że już dostał zezwolenie, ło - to teraz to już mogą mówić - pomyślałam. Ślub był w Olsztynie, bo tam mieszkaliśmy u brata. Mama przyjechała z Sytek, a tatuś musiał tam zostać,

bo już nikogo nie było na gospodarce. Jeszcze 3 miesiące odpracowałam w Olsztynie, rozwiązałam umowę o pracę i przyjechałam do Białegostoku do męża.

Mieszkaliśmy tam na Artyleryjskiej. Własnymi rękami odgruzowywałam ulicę Zamenhoffa. Potem przeprowadziliśmy się do Łodzi. W Białymstoku to całe śródmieście zostało zniszczone.

W 1950 r. urodziła się w Białymstoku córka Hania. Mieszka tu w Tomaszowie. Każde dziecko mam gdzie indziej urodzone. Córka w Białymstoku, syn Rysiek w Łodzi, drugi syn w Tomaszowie. Jak kiedyś liczyłam to 7 czy 8 razy przeprowadzałam się.

W 1951 r. przenieśli nas do Andrzejowa k. Łodzi, potem do Wiśniowej Góry, gdzie przed kilkoma laty skończyłem szkołę kawalerii, bo nie było mieszkania w Łodzi. Później uż mąż był w Łodzi w pułku i dalej mieszkania nie było, to na Napiórkowskiego wynajmowaliśmy prywatnie pokój. Dopiero po kilku miesiącach dostaliśmy mieszkanie na róg Andrzeja Struga i Czesława Chutora, k. fabryki cukierków „Optima”.

Jak mieszkaliśmy w Łodzi, to u nas przez ścianę mieszkał szef „Informacji” Cymiel. Jego żona codziennie była u mnie. Też żydówka. Jojne takie, że... . Jak oni dobrze żyli. Paczki dostawali z tej żydowskiej... . My biednie, a oni sobie pomarańcze, czekolady. U nas to wielka frajda była jak dzieciom na Boże Narodzenie paczuszkę zrobiło i każdemu dziecku po pomarańczy, a taaam... bez przerwy jadły całą gębą. A dzień w dzień była, a już tak jej nie lubiłam, że czasami już do męża mówiłam.

- Nic nie mów - odpowiadał.
- Jak ja tego Cymiela nienawidzę.
- Ty to się tak uprzedzasz do ludzi - mówił mąż.
- Ja mogę kogoś od pierwszej chwili bardzo lubić i od razu intuicyjnie wyczuję, i kogoś nienawidzę [też] od pierwszej chwili.

Wtedy nie pracowałam, bo dzieci były malutkie, a później jak już miałam załatwioną pracę - pracę mi załatwiła żona majora Kuszewskiego, lekarza pułkowego, ona pracowała gdzieś w Wydziale Zdrowia - to wtedy męża zwolnili. Skończyło się wszystko i wtedy do Tomaszowa... . Bieda była.

Nie mogłam się przyzwyczaić do tego Tomaszowa. Ciągle płakałam, żebym chociaż ze 2 lata przed śmiercią mogła gdzie indziej pomieszkać, a nie w tym Tomaszowie. Jeszcze miałam nadzieję do Białegostoku wrócić, bo mąż pojechał tam pracy szukać na budowie, a tu masz.

- . por. Godlewski.
- . porucznik Kowcik - d-ca kompanii.
- . kpt. Mosiejew - d-ca 9 batalionu
- . Zygmunt - szef sztabu
- . Matacz
- . Tomeczakowski - d-ca Brygady. ppłk. Dembowski - poprzedni d-ca brygady
- . Gołdyn
- . szef „Informacji” w stopniu majora - Cymiel, Żyd.
- . Rybińska - panieńskie nazwisko matki Danuty Kosztyły

- . hrabia Czacki
- . Czacki Tadeusz - syn hrabiego
- . Kurnatowski Jerzy - brat D.K., czł. o-łu „Młota”
- . Kuruś- nacz. NKWD.
- . Syr, drugi był Minc czy Mienc
- . „Priedsedatelem” był Maćkowiak
- . starszy lejtnant Andrejew - wnuk tego pisarza Andrejewa i Wsieświackij
- . Czesiek Terlikowski - tłumacz w żandarmerii w Drohiczynie
- . Szwab - jego kolega
- . komendant żandarmerii Gruszecki
- . Żyd Dufcio
- . Ejsmont - właściciel majątku Czartajewo.
- . Kobylińscy - właściciele majątku Altein
- . „Rekin”, Zbyszek miał na imię
- . „Młot”
- . Stach „Szczęsny” to Stanisław Karolkiewicz
- . Stefan Wiliński - czł. o-łu AK
- . gen. Kapustinem
- . ks. Gliński, proboszcz naszej parafii,
- . Wiktor (zdrobniale: Torek) Kotas

gw. Jerzy Kiebole.